

Właściwie powinienem ją nazwać dwutygodniową, gdyż tyle akurat czasu upłynęło od chwili, gdy jej poprzedniczka spłynęła na papier z kronikarskiego pióra.

A stało się to dzięki bezrobociu Panów Drukarzy, którym za ten przymusowy wypoczynek składam na tem miejscu z głębi serca odczułe podziękowanie. przyrzekając solennie odwzajemnić się przy najbliższym strajku kronikarzy, jaki mam zamiar zainicjować, o ile naturalnie pani Weronika na to mi zezwoli raczy. Jeśli jednak w ten sposób nawiązują się inni o poprawę swego bytu, ciekawy jestem, dlaczego klonikarze mieliby pozostać w tyle, skoro i oni muszą jeść, pić i nubić się zupełnie tak samo, jak, dajmy na to, P. T. Drukarze. A warunki, w jakich nam żyć przychodzi, bynajmniej się nie poprawiają, choć wojna światowa już się podobno skończyła i to według zapowiedzi ś. p. lorda Kitchenera, który przewidział jej koniec na rok 1918. Śmiałyśmy się wówczas z tego, ale dziś widzimy, że miał rację. Żal mi bardzo, że nie doczekałam spełnienia się tej przepowiedni, która, jak się dziś okazuje, była bardziej zasługująca na wiarę, niż wszystkie inne proroctwa różnych babek ze Śląska i innych podobnych wróżbitów i wróżbitek.

Gdy się wojna toczyła było źle, teraz nie jest bynajmniej lepiej. Chcąc sobie podjąć do syta, trzeba mieć krociowy majątek, to samo musi się powiedzieć, jeśli się chce okryć swe grzeszne ciało. Jako dowód niech posłuży niewinny obwarzanek, kupiony przeze mnie onegdaj za koronę i dwadzieścia halerzy. Był on wprawdzie wypieczony z ciemniejszej maki niż przedwojenny za dwa centy, ale trzeba przyznać, że miał zato w środku daleko większą dziurkę.

Powie kto może, że kronikarz jest lekkomyślny, jeśli sobie w tych ciężkich czasach pozwala na podobne zbytki, ale mi zaraz z pewnością wybaczy, jeśli mu wyznam, że był to prezent imienninowy dla mej połowicy, obchodzącej w dniu 13 stycznia uroczystość swej Patronki.

Na inny prezent, dzięki coraz pomyślniej składającym się koniunkturą, zdobyć się nie mogłem.

Spodziewaliśmy się, że nam może przyjdą z pomocą nasi najbliżsi sąsiedzi, bracia Czesi, ale nadszły zawłody. Mogliśmy stamtąd otrzymać cukier, kwargle, piwo i węgle. Co do cukru, to wytłumaczano nam, że się bez niego obejść możemy, mając w Boguminie (który jeszcze do nas należy...) fabrykę sucharyny, kwargli nam także nie posłano, wobec czego i piwo okazało się niepotrzebnem, gdyż ono tylko po nich smakuje. Brak węgla nie powinien ehyba nikomu dokuczać, gdyż, dzięki staraniom Komisji likwidacyjnej, obecna zima, jako przejściowa, ma być bardzo lekka i nikomu nie da się we znaki. Choć nie powinno się mówić „hop“, dopóki się nie przeskoczy!... Wszystkie zarządzenia naszych nowych władz są nadzwyczaj „przejściowe“, więc bardzo łatwo stać się może, że dopiero koniec zimy odcujemy należycie. A mamy przed sobą jeszcze prawie połowę stycznia, luty, marzec, a może i kwiecień!... A cóżby w tem zresztą było dziwnego, gdybyśmy tak w Zielone Święta urządzili sobie saneczkami kulisg na Bielany? Zima może i powinna się jeszcze upomnieć o swoje prawa, chyba, że założono znów jaką nową centrale, o czem my dotąd nie wiemy, a ta zajęta mrozy i śniegi. celem „równomiernego rozdziału ich między wszystkich potrzebujących“. Jeśli tak jest, nie miałbym nic przeciw temu, gdyby cały zapas śniegu i mrozu przyznało naszym sąsiadom.

Z drugiej jednak strony ta wiosna w styczniu nie wróży nic dobrego, przyczynia się bowiem do rozwoju, ale tylko... hiszpanki i innych chorób, na których brak narzekać nie możemy. Związane ta neutralna hiszpanka rządzi się u nas niczem szara gęś. Życzący sobie należało, aby pomyślano już raz o założeniu jakiej „chorobowej centrali“, dzięki której znikną paskudne chorobiska, tak, jak leki po wprowadzeniu w życie aptekarskiej. Kosztowała miła przez cię rz i pół roku dość chyba zajęcia *en gros* na „pola chwały“, mogłaby więc bodaj na jakiś czas ogłosić bezrobocie i wypocząć po trudach.

O ile kronikarz wejdzie w aktów przyszłego sejmiku polskiego, o co się stara, a ogół go zapewne poprze, na jednym z pierwszych posiedzeń postawiłby odpowiedni, należycie umotywowany wniosek.

A taki to już dziś duch czasu, że każdy i każda czuje w sobie siły na męża i żonę stanu. Dotąd byliśmy zawadzymi stratygi, po głowie nam chodziły tanki różne odcinki, przyczółki mostowe, ognie huraganowe, zapora, bębniące, trąbiące itd., pływaliśmy w łodziach podwodnych butali w przestworzach w samolotach, obecnie zamieniliśmy się w poważnych

polityków, zastanawiających się nad tem głęboko co dalej będzie?

Politykowanie, to ogólna dziś choroba i to zaraźliwa, nie też dziwnego że uległ jej i kronikarz i choć wyrzekał się zawsze polityki, kombinuje wraz z innymi i coraz żywszy bierze udział w życiu społecznem, czego następstwem, że zgł sił nawet swą kandydaturę.

A nie mógł ucz nić inaczej, gdyż Weronika wyraziła mu powiedziała:

— Jeśli swojej nie postawisz, ja zgłaszam moją!...

Chodzę więc na zgromadzenia ludowe i nie ludowe, biorę udział w granych przyjęciach miłych gości (niestety, najczęściej nawet i bez zimnej przekąski!...), a jeśli jestem dotąd cały i zdrowy, to zawdzięczam tylko temu, że jeszcze nie wygłosiłem mowy kandydackiej.

Bo to u nas, trzeba wiedzieć, wolność przekonań i słowa szanuje się ogromnie. Na każdym zgromadzeniu możesz przemawiać, jeśli cię naturalnie dopuszczą do głosu, ale, broń Boże, nie odeszł się przypaźkiem w innym dachu, niż większość i inicjatorowie zebrania, gdyż bardzo łatwo można się znaleźć za drzwiami, by tam dokonać wywodów. To przypomina zupełnie opowiadania koalicyi o samostanowieniu narodów o sobie, ale z wyjątkiem... Irlandyi i Indyi, które w grę nie wchodzi, gdyż jest ktoś, kto je w tem wyręcza i myśli o tem, by im było jak najlepiej.

Tak też dzieje się i u nas w życiu politycznem. Są niektóre, nawet i bardzo postępowe stronnictwa, które powiadają: „Możesz mówić, jak długo chcesz, ale bład ci, jeśli się odezwiesz inaczej, niż nam się podoba!...“

Wobec tego, że względu na własne bezpieczeństwo, mowę kandydacką należy wygłaszać tylko wobec ludzi, o których się wie, że są tak usposobieni politycznie jak my, a najlepiej w czterech ścianach swego mieszkania, choć to podobno i ściany mają uszy.

Kronikarz ma już mowę kandydacką przygotowaną, przeszła ona nawet cenzurę władzy domowej i uzyskała zatwierdzenie. Dotąd jej jednak nie wygłosił. Ale co się odwiecze, to nie uciecze. Nie dziś, to jutro, nie przy tych, to przy następnych wyborach. Przy tych ułowił mandat kędzie trudno, gdyż w ubiegłym tygodniu było już w samym Krakowie ośm list kandydackich, a dziś jest ich z pewnością dwa razy tyle, jeśli nie więcej.

Natomiast w powitaniach brał kronikarz bardzo żywy udział. Przedewszystkiem więc witał komendanta Piłsudskiego, potem misję amerykańską, wreszcie Paderewskiego.

Pierwsze powitanie, które nazwano „entuzjastycznym“, ograniczyło się na kilkunastu kapelmistrzach, czapkach i chustkach (prawdopodobnie i tyleż było głów...) a złożyli się za tę liczbę delegacji „z urzędu“, drugie tyle było ciekawych. Bezstronny widz nazwie je więc cichem i skromnem, ale to może i lepiej, bo komendant podobno nie lubi zbytnej pompy i ostentacyi.

Drugie powitanie było już głośniejsze. Delegacja amerykańska przybyła do nas, aby się na miejscu przekonać, czy mamy co jeść i w co się ubrać. Było więc wskazaniem, aby na jej powitanie jawili się tylko ci, którzy nie grzeszą zbytnią korpulentnością. Paskarze, dostawcy i członkowie różnych centrality byli od udziału wykluczeni. Chudych zebrano się sporo krzyczeli głośno i wiatowali na cześć gości, a tym powiedziano, że to z głodu. W Grandzie odbyło się przyjęcie, ale bardzo skromne, jak tego powaga chwili wymaga. Amerykanie odnieśli z tego powitania jak najlepsze wrażenie, czego dowodem obietnica, że Ameryka nie zapomni o nas i nadeśle nam i papu i ubrania. Należy tylko cierpliwie czekać i przez ten czas wstrzymywać się od jedzenia i kupowania odzieży, którą potem dostanie się za pół darmo.

Owego zapowiedzianego miliona w złocie wprowadzić ze sobą nie przywieźli, ale w każdym razie od chwili ich pobytu w Krakowie stosunki zaczynają się jakoś poprawiać widocznie. Na Rynku sprzedają już gorącą kiełbasę, wprawdzie nie amerykańską jeszcze, ani też wyborczą, ale w każdym razie kiełbasę, bo tak ten artykuł spżywcy, a właściwie jemu podobny, dawniej nazywano. To tylko dziwne, że sprzedający obrabali sobie miejsca zbyt bliskie stanowisk doradczy, których szeregi z dnia na dzień coraz bardziej się przerzedzają. Woźnice przechodzą w stan swóczynku, konie zamieniają się w... kiełbasę... Tak twierdzą wtajemniczani. A jest to prawdziwie „wiejska kiełbasa“, gdyż taki koń zwykle pochozi ze wsi.

Trzecie przyjęcie, mistrza Paderewskiego, było entuzjastycznem, a mogło się być stać prawdziwym świętem narodowem gdyby nie staranie kogoś, kogoś widocznie bardzo na tem zależało, by wypadło jak na skromniej. Zastrzymano też depesze, donoszące o przyjeździe mistrza do Krakowa. W ostatniej dopiero chwili dowiedziano się o przyjeździe miłego go-

ścia i zajęto pospiesznie przygotowaniami. Tysiące ludzi wyległo na ulice miasta, przybywającego witano gorąco i serdecznie, jak na to zasłużył swą prawdziwie obywatelską działalnością.

Takie przyjęcie może być nazwane przyjęciem. Można sobie wyobrazić, jakie byłoby ono przybrało rozmiary, gdyby nie krecia robota tych, którym nie było na rękę, bo krzyżowało ich plany i kombinacje polityczne.

I znów wylazło szydło z worka.

Są między nami ludzie, którzy mówią, że chcą mieć Polskę niezależną i dodają zarazem, że zgadzają się z góry na to, co Sejm postanowi o tem, kto ma stanąć na jej czele, ale dają na każdym kroku do zrozumienia, że jest jeszcze pewne zastrzeżenie... A ono brzmi: „Broń Boże, aby to był jednak człowiek innych, niż my, przekonań politycznych, gdyż na takiego się nie zgadzamy!“...

Tak, jak każdego z Polaków, zajął też kronikarza i warszawski zamach stanu. Pozostawił on po sobie tylko niesmak. Jeśli się przystępuje do wykonania podobnego przedsięwzięcia, powinno się mieć na ślachu, by potem, tak, jak w danym wypadku, nie śladnąć na siebie zarzutem lekkomyślności. Była to w samej rzeczy pewnego rodzaju operetka, która jednak mogła mieć bardzo tragiczne następstwa i spowodować w społeczeństwie naszym jeszcze większy rozłam i chaos. A tego nam nie brak!... Ale tak dzieje się u nas z każdym przedsięwzięciem, choćby ono miało jak najszlachetniejsze motywy: brak mu przygotowania należytego, albo ujęte jest w ręce przez ludzi, którzy do jego poprowadzenia zupełnie nie dorosli.

Effekt był z góry nie oczekiwany. Zamach stanu wzmocnił nawet na razie stanowisko tych, przeciw którym był skierowany. A tego, jak się zdaje, inicjatorowie nie mieli w planie!...

Zamachem stanu nazwać można także i zakaz sprzedawania publiczności wszelkiego rodzaju wódek. — Obowiązuje on aż do dnia 27. stycznia włącznie.

Kto ten zakaz wydał, ani rnsz nie można się do wiedzieć.

Jedni są zdania, że pochodzi od rządu, który chciałby wybory przeprowadzić na trzeźwo, ale widocznie nie zdawał sobie z tego sprawy, że kiełbasa wyborcza, nie podłina należyte wódecznością, może bardzo łatwo zdrowiu zaszkodzić, a dziś ze zdrowiem igrać nie wolno.

Jeśli tak jest, to z pewnością były gabinet składał się z samych czynnych członków Elenteryi. (to jest takich, którzy piją tylko wtedy, gdy nikt nie widzi...) Ci panowie widocznie nie byli nigdy w Hawelki, gdzie na ścianie bufetu widnieje taki wierszyk: „Po kiełbasie napijwa się!...“ Tak było dawniej, tak powinno pozostać i nadal, bo to złota myśl, której prawdziwość stwierdzono długoletniem doświadczeniem.

Drugie zdanie, i tym bardziej wierzą, są natomiast zdania, że cały ten zakaz to dzieło restauratorów i kawiarni, którzy chcą w ten sposób zmusić rząd, by im zatwierdził cennik potraw i napojów, pozwalający bezkarnie drzeć skórę z bliźniego. Wiedzą zaś, że w okresie wyborów i kiełbasy wyborczej bez trankowości obejść się nie może, nie każdego bowiem stać na to, by sobie mógł pozwolić na wino... (o piwie nawet się nie mówi, takie podłe!...)

I dlatego właśnie zakaz ten nazwałem zamachem stanu.

Ala u nas przy każdej sposobności musi coś wyleżeć... Przedtem wylazło szydło z worka, teraz paskudna konkurencja.

Bo i cóż się dzieje?... Panowie szynkarze dali sobie słowo „uczciwego“ człowieka, że do zakazu się święcie zastoją i nikomu kropli wódki nie sprzedadzą, a tymczasem słyszę, że nawet ci, którzy najbardziej zabiegali o przeprowadzenie zakazu, choć na kieliszki wódki nie sprzedają, odsępniają je, ale tylko z grzeczności... całymi fiaskami. Właściwie niby nie oni, ale ich personal i to tylko z życzliwości dla gospodarza, by się gość od lokala nie odstręczył i nie poszedł przypadkowo gdzie indziej.

Znam dwie firmy, obie katolickie, jedna z nich stara i uważana za „ciężką“ w całym tego słowa znaczeniu, druga młoda, która jej wyrosła pod bokiem, nieczem czwrek pod pachą...

Stara firma, stosując się do złożonego zobowiązania, wódki nie sprzedaje, czem sobie zraża nawet stałych gości, młoda z tego korzysta i gaci bardzo chętnie ich pragnienie. Młody knp'ec bardziej jest po chrześcijańsku usposobiony, niż stary sąsiad i stosuje się do zasad, że „pragnącego należy napoić“, zwłaszcza, że na tem najlepiej wychodzi jego kieszeń, a przy jej napełnianiu nie lubią się ludzie powodować żadnymi skrupułami.

Ala czy tak być powinno?... Czy to ma być objawem solidarności kupców i to do tego katolickich?... Konkurencja jest wskazana, choćby tylko ze względu na odbiorców, ale i ona musi mieć pewne granice.